Nr 41. Kraków, 14 Października 1893. Rok III.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya przy ulicy Straszewskiego l. 22.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Nasze dzieje w ostatnich stu latach.

(Ciąg dalszy).

Łatwo zrozumieć, że ta zupełna, niewolnicza zależność sumień schyzmatyckich daje cesarzom rosyjskim ogromną władzę nad poddanymi i ogromną siłę w wykonaniu wszystkich zamiarów i przedsięwzięć. A przeciwnie, przyrodzona wolność sumienia katolickiego, jego niezależność od władzy świeckiej, i katolicka wyższość władzy duchownej od świeckiej w rzeczach wiary i sumienia, jest dla nich nieznośna, bo jest zaporą, którą w tych zamiarach i przedsięwzięciach zawsze mogą napotkać.

Dlatego to oni w swoich krajach prawdziwie rosyjskich katolickiej wiary nie znoszą i nie dopuszczają. Rosyanin, kiedy się nawróci na katolika, albo się wynosi za granicę, albo się starannie ukrywa, bo inaczej poszedłby na Sybir. Dlatego w krajach polskich z ludnością ruską, odrazu po rozbiorach wzięli się do wytępienia Unii kościelnej (z obrządkiem greckim). Dlatego teraz, kiedy zgnietli powstanie, wzięli się do prześladowania, krępowania, burzenia Kościoła w obrządku łacińskim także z tą nadzieją, że z czasem potrafią zniszczyć go do szczętu.

Zaczęło się od wywożenia Biskupów a Rosya — zuchwała i bezczelna w kłamstwie tak jak chytra i sroga w postępowaniu — głosiła, że ci Biskupi politycznie coś przeciw rządowi zawinili. Nieprawda! W rzeczach i prawach świeckich wszyscy byli zawsze powolni; z ostatniem powstaniem żaden nie miał nic do czynienia. Wszyscy oparli się rządowi wtedy dopiero, kiedy w rzeczach kościelnych zażądał od nich rzeczy, których oni ze swojem kapłańskiem i biskupiem sumieniem pogodzić nie mogli. Wszyscy byli wywiezieni w głąb Rosyi. Arcybiskup warszawski, ksiądz Zygmunt Feliński, do Jarosławia. Jego sufragan, Biskup Paweł Rzewuski, do Kaługi. Biskup płocki, ksiądz Popiel, do Nowogrodu. Biskup podlaski, Benjamin Szymański, i seyneński, Konstanty Łubieński, wywiezieni także, ostatni umarł w drodze. Administrator dyecezyi lubelskiej (Biskup był właśnie umarł) umknął przed wywiezieniem za granicę. Biskup chełmski, unicki, ksiądz Kaliński, gdy odmówił nakłaniać wiernych do schyzmy, porwany i wywieziony, umarł w drodze. Tak, że na wszystkie dyecezye w Królestwie Polskiem został na miejscu jeden tylko Biskup w Sandomierzu, ksiądz Juszyński, taki stary i chory, że zupełnie już niedołężny. W krajach zabranych było tak samo. Biskup wileński, Adam Krasiński, wywieziony do Wiatki. Biskup łucki, Kasper Borowski, do Perum. Dyecezya kamieniecka zniesiona. Znowu jeden tylko Biskup żmudzki, ksiądz Wolonczewski, pozostał na miejscu.

Skutki zrozumieć i ocenić łatwo. Gdzie nie ma Biskupa, tam nie może być święcenia księży: zatem nowych księży nie przybywa, a starych ciągle ubywa; zatem wiele parafij bez księdza, a tysiące katolików bez nabożeństw, bez Sakramentów. Gdzie nie ma Biskupa, tam nie ma Sakramentu Bierzmowania, tam Duchowieństwo pozbawione swego zwierzchnika, nie wie, jak i kogo ma słuchać; dyecezya, pozbawiona Pasterza, podupada w swojem katolickiem życiu. Kiedy taki stan trwa długo, to łatwo poznać, jakie ztąd szkody dla Kościoła i Wiary. Tam zaś były bez Biskupów jedne dyecezye przez lat dwadzieścia, inne po kilkanaście, aż do roku 1883, w którym dzisiejszy Papież Leon XIII-ty otrzymał wreszcie od rządu rosyjskiego, że nowych Biskupów zamianować pozwolił. Ale choć w tem rząd ustąpił, to od prześladowania Kościoła nie odstąpił, ani go nie zaprzestał, jak o tem zaraz powiemy.

Po wywiezieniu Biskupów wzięto się do niższego Duchowieństwa, świeckiego i zakonnego. Mnóstwo księży wywieziono na Sybir albo w głąb Rosyi. Tym, co zostali na miejscu, nie wolno się ruszyć z miejsca bez pozwolenia naczelnika powiatu: tak, że gdzie jest odpust naprzykład i zgromadzi się dużo ludzi, tam nigdy nie ma dość księży do ich duchownej posługi. Tak samo Biskup nie może objeżdżać dyecezyi bez pozwolenia gubernatora. Nie może też, pod groźbą więzienia i Sybiru, znosić się z Papieżem, pisać do Rzymu wprost,

tylko przez pośrednictwo władz rządowych, a w takiem piśmie naturalnie nie może pisać prawdy, bo gdyby napisał, co się dzieje, to zaraz poszedłby na wygnanie. Klasztory prawie wszystkie, męzkie jak żeńskie, pozamykane. Zakonnikom i zakonnicom rozkazano mieszkać w pewnych, oznaczonych miejscach i wyznaczono im pewne, ubogie utrzymanie, dopóki żyją. Ale nie wolno im trzymać nowicyuszów, czyli przyjmować do zakonu; a wskutek tego gdy ci starzy wymrą, nie będzie już żadnych zakonów w Polsce. Wiadomo zaś, jak w życiu katolickiem zakony wiele znaczą przez swoje modlitwy, umartwienia, karania i uczynki miłosierne. Ich brak jest ogromnym ubytkiem sił dla Kościoła. A właśnie o to temu rządowi chodzi; zamyka je dlatego, bo się spodziewa, że jak zakonów nie będzie, to i wiara katolicka łatwiej ostygnie i upadnie.

Tak było tam, gdzie jest lepiej, w Królestwie Polskiem. A na Litwie i Rusi jeszcze nierównie gorzej. Tam gubernator, kiedy mu się podoba, znosi parafię katolicką, zamyka kościół, zamienia go na schyzmatycką cerkiew, osadza popa (któremu katolicy muszą dać grunt, budynki i dochód w gotówce) i rzecz skończona, parafii i kościoła nie ma. Wierni muszą szukać nabożeństwa i Sakramentów w sąsiedniej parafii, nieraz o kilka mil odległej; tak że dzieci często umierają bez chrztu, a dorośli bez wiatyku. Kiedy się kościół albo kaplica zepsuje, to naprawiać ich nie wolno, żeby zniszczały zupełnie. Tem bardziej nie wolno stawiać nowych. Słowem, i kościoły jako budynki, i Kościół katolicki jako zgromadzenie wiernych pod jedną głową, Namiestnikiem Chrystusa Pana, skazane na zagładę.

Jak rząd rosyjski wytępił Unię w Chełmszczyźnie i na Podlasiu, jakich dopuszczał się krwawych okrucieństw, to opowiadaliśmy obszerniej niedawno, i teraz powtarzać nie będziemy*). Dość że dziś pod rządem rosyjskim nie ma już ani jednego katolika greckiego obrządku; a ci, co w sercu katolikami są, zawsze choć ich urzędownie na prawosławnych zapisano, kryją się z tem, do cerkwi chodzić nie chcą, dzieci sobie chrzczą i śluby sobie dają sami, albo (jeżeli bliżej granicy) przekradają się do Galicyi, z niebezpieczeństwem życia a przynajmniej wygnania, gdyby ich wykryto i złapano.

Kiedy po śmierci Piusa IX go dzisiejszy Papież Leon XIII-ty wstąpił na Stolicę św. Piotra, zwrócił on zaraz uwagę na ten stan Kościoła w Polsce. Obawiał się, że Kościół rozprzęże się zupełnie, jeżeli dłużej zostanie bez Biskupów, i zaczął próbować układów z rządem rosyjskim. Otrzymał tyle, że cesarz zgodził się na nominacyę nowych Biskupów, ale żadnemu z dawnych do jego dyecezyi wrócić nie pozwolił. Arcybiskup Feliński, Biskup Krasiński, Biskup Rzewuski, osiedli w Galicyi (dwaj ostatni już nie żyją). W każdym razie to obsadzenie stolic biskupich było szczęściem dla polskiego Kościoła: ale ich los taki smutny i niebezpieczny jak był los poprzedników. Tak samo nie wolno im ani się ruszyć, ani znosić się z Rzymem, a co jakiś

*) O „Rusi i Rusinach". *Krakus* z r. 1891.

Wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie!

napisał

X. Zygmunt Chełmicki.

(Ciąg dalszy).

— No, czas do domu! Ruszajcie na złamanie karku! — zawołał wreszcie żyd.

Powoli zaczęli się wytaczać i Jaworzyńscy obywatele. Najpierw Bonifacy Piskorski, za nim Młynarski, Józef Bednarski, Kos i inni, a zataczając mniejsze lub większe koła wlekli się ociężale do chałup.

W szynku pozostał tylko Piątka, który chrapał przeraźliwie śpiąc wsparty na stole. Żyd zbliżył się do opoja. Szarpnął za ramię, potem za głowę raz i drugi. Piętka mruczał tylko, nie ruszając się z miejsca.

— Spiłeś się znowu gałganie! tfy! — zawołał z obrzydzeniem szynkarz i chwyciwszy silnemi rękoma za kołnierz na wpół tocząc przed sobą, na wpół pchając bezwładnego Jakóba, doprowadził go do drzwi i jednem silniejszem pchnięciem wyrzucił na dwór. Piętka zakreślił koło. Jakiś czas usiłował odzyskać równowagę, lecz daremnie, zatoczył się silniej i całym ciężarem ciała legł pod ścianą szynku. Za chwilę słychać już tylko było ciężkie jego chrapanie, któremu towarzyszyło skrzypienie świerszcza, co nieświadomy nędz ludzkich usadowiwszy się między szparami drzewa zwykłą grał piosnkę. Księżyc zlewając potoki srebrzystego światła patrzył jakby z litością a może z pogardą na nędzną mieścinę i jeszcze nędzniejszych jej mieszkańców.

II.

Jaworzyn nazywał się wprawdzie miastem, ale chyba tylko na kpiny; bo czyż miano to przystało lichej, brudnej osadzie, złożonej z 36 nędznych chałup, których większość pokryta była słomą, reszta zaś puszasto mchem porosłemi gontami? Mieszkańców posiadał Jaworzyn ogółem 426 dusz. Naturalnie przeważna połowa ludności lilipuciego grodu nosiła długie, w błocie zabrukane chałaty, oraz wdzięcznie około ucha wijące się, lub strączkowato z pod jarmułek spadające pejsy.

Kilka koszlawych lub pochyłonych domów, rozrzuconych naokoło dosyć obszernego, zwykle paroma

czas występuje rząd z żądaniami, których Biskup z przepisami Kościoła i ze swojem sumieniem zgodzić nie może. Wtedy musi się oprzeć: jak się oprze, porywają go i wywożą w głąb Rosyi. Tak się stało z nowym Biskupem wileńskim, następcą Krasińskiego, księdzem Karolem Hryniewickim, który ledwie parę lat utrzymał się na swojej wileńskiej stolicy*). Ów układ, zawarty z Papieżem w roku 1883, rząd rosyjski zachowuje na pozór, a na prawdę omija go podstępnie. Naprzykład żądano wtedy od Papieża, żeby zezwolił na naukę języka i literatury rosyjskiej w seminaryach duchownych. Papież zezwolił, ale pod warunkiem, żeby tej nauki udzielał zawsze katolik. Rząd warunek przyjął i podpisał. Ale wyznaczył zaraz przy wielu seminaryach nauczycieli schyzmatyków, a pod pozorem języka rosyjskiego polecił im nauczać historyi kościoła. Katolicka młodzież duchowna ma pobierać nauki od schyzmatyków; i to jeszcze jakiej nauki? historyi swego kościoła! Oczywiście taki nauczyciel będzie wszystko przekręcał i fałszował, i będzie się starał swoją nauką katolickiego ducha w młodych klerykach osłabić, a schyzmatyckiego zaszczepić. A jeżeli taki nauczyciel powie, że kleryk nie umie dość dobrze po rosyjsku, to Biskup nie może takiego wyświęcić na księdza, choćby był najlepszy i uczył się najdoskonalej. Albo znowu inny przykład. Niektóre wsie w Królestwie Polskiem podały prośbę do cesarza, żeby proboszczowi wolno było uczyć dzieci katechizmu w szkółce. Cesarz pozwolił, ale z tym dodatkiem i warunkiem, że w tej nauce ma księdza doglądać świecki urzędnik albo żandarm, i że jeżeli ksiądz uczy katechizmu w szkole, to w kościele już mu nie wolno udzielać zwykłej, niedzielnej, popołudniowej nauki katechizmu.

W Litwie znowu rząd chce od długich już lat wprowadzić język rosyjski do katolickich nabożeństw. Myśli, że jakby były rosyjskie śpiewy, kazania, litanie, i inne dodatkowe modlitwy, to z czasem przyjęłaby się i rosyjska Msza. W Rzymie tłómaczy on to swoje żądanie niby tem, że w tym kraju ludność jest czysto rosyjska, więc polskich modlitw nie potrzebuje. Ale na to odpowiada Papież, że Rosyanom przecie katolikami być nie wolno, jak całemu światu wiadomo: więc dlaczegoż mają być potrzebne te rosyjskie nabożeństwa w katolickich kościołach? W Rzymie więc nie wskórał rząd tak, jak chciał: ale lepiej niestety udało mu się z niektórymi księżami na miejscu. Mianowicie w Mińsku, niejaki ksiądz Seńczykowski wprowadził język rosyjski do nabożeństw. Ale lud wychodzi z kościoła, kiedy one się zaczynają. *(C. d. n.)*

*) Wywieziony był do Jarosławia. Po kilku latach Ojciec św. uprosił, że mu pozwolono wyjechać za granicę. Zamieszkał w Galicyi, a teraz jest proboszczem w Tnchowie koło Turnowa.

---

błotnistemi kałużami urozmaiconego placu, stanowiło tak zwany rynek, wpośród którego wznosił się ratusz. Była to długa, piętrowa kamienica, zbudowana z surówek, w pruski mur, na którym ząb czasu i deszczu nieubłagane pozostawiły znamiona. Kilka tafli zupełnie wypadłych zastąpiono deskami, na innych widniejące szpary pozatykano słomą lub łachmanami. Po ścianach noszących gdzieniegdzie zaledwie ślady wapna wiły się w różnych kierunkach żółtej smugi, świadczące rzęsiście, podczas ulewy spływającej po nich wodzie z gliną. Dach pokryty na wpół zmurszałą słomą w wielu miejscach świtał dziurami, któremi deszcz i śnieg swobodnie spadały do wnętrza. W oknach lśniło się kolorami tęczy zaledwie kilka przepalonych od słońca szyb, reszta zaś otworów, o ile nie została zalepiona papierem lub zapchana słomą albo różnemi szczątkami odzieży, służyła do swobodnej wentylacyi.

Ratusz nie był bynajmniej siedzibą władz municypalnych, natomiast służył za szkołę i dom modlitwy dla ludności żydowskiej, która też szczelnie zapełniała resztę wolnych izb, o czem wymownie świadczyły piętrzące się w różnych punktach kupy śmieci, na których wśród porzuconych kolebek i wietrzącej się pościeli igrało stale kilka lub kilkanaście brodatych kóz.

Pomimo tak niepochlebnej powierzchowności ratusz stanowił jedyną, miejską cechę Jaworzyna, bo chociaż droga wiodąca do rynku, wzdłuż której rozsadowiła się reszta jaworzyńskich chałup, nosiła szumną nazwę Krakowskiego Przedmieścia, miano to wszakże wiadome było tylko samym Jaworzanom, a przypominali je sobie dopiero wtedy, gdy zaczepiano cześć ich grodu.

— Mamy ratusz i Krakowskie Przedmieście! — odpowiadali wtedy z dumą.

Naturalnie o bruku nie było mowy. Jaworzanie bowiem nie chcieli wyrządzić krzywdy swoim kwiczącym, czworonożnym faworytom, którzy w jaworzyńskiem błocie zażywali smacznego wczasu, stanowiąc zarazem stałą, bezpłatną kompanię asenizacyjną miasta. Żeby zaś nie posądzono grodu o brudne skąpstwo i na dowód, że stać go na bruk, większe doły i wyboje, ku ciężkiemu strapieniu przejezdnych, zasypano kamieniami, które też obficie w przyzwoitych odstępach sterczały na drodze.

Mylilby się jednak, ktoby przypuszczał, że Jaworzyn nie posiadał swojej głośnej sławy. Jak Toruń

Włościanie wielkopolscy.

(Pod rządem pruskim).

II.

Włościan czyli chłopów wielkopolskich, ze względu na ich położenie i mienie, możnaby podzielić na trzy klasy. To jest na gospodarzy mających posiadłości, tak zwane gospodarstwa; na chałupników i wyrobników, czyli komorników; pierwsi mają dom i kilka mórg ogrodu, drudzy mieszkają w najętych izbach, wszyscy zaś szukają po świecie, u swoich i obcych zarobku; wreszcie na ludzi służebnych czyli dominialnych, którzy służą po dworach i folwarkach, jako włódarze, polowi, fornale, parobcy, rataje i t. d.

1. Włościanie, mający swoje posiadłości czyli gospodarstwa, mieszkają albo we wsiach szlacheckich, a grunta ich leżą pomiędzy gruntami dworskiemi, albo na tak zwanych hubach, gdzie zagrody mają rozrzucone po polach, lub wreszcie we wsiach, składających się ze samych gospodarstw; wsie takie nazywają się gospodarskiemi.

Gospodarstwa chłopskie obejmują od 20—300 mórg ziemi, odpowiednio do ilości gruntu nazywa się właściciel jego wielkim lub małym gospodarzem. Włościanie, nie posiadający więcej nad 40 mórg gruntu, uprawiają go sami z pomocą żony i dzieci, tylko w czasie żniw przynajmują pomocników. Gospodarze zaś więksi trzymają do pomocy parobków i dziewki, chyba że mają dorosłych synów i córki, w takim razie i oni mało trzymają czeladzi. Gospodarz sam, z pomocą synów lub parobka uprawia rolę, sieje i sprząta, to też w czasie lata prawie cały dzień jest w polu, podczas gdy domowa praca, chów trzody i drobiu należą do gospodyni; tylko bydło a mianowicie konie oprzątają zwykle mężczyzni; są przecie i takie gosposie, które w nieobecności mężów umieją chodzić około całego dobytku. W czasie zimy młócenie zboża, rznięcie sieczki, doglądanie inwentarza zajmuje cały czas gospodarzowi; niektórzy jednak w wolnych chwilach trudnią się naprawą porządków gospodarczych; kobiety zaś przędzą wieczorami, drą pierze lub płótno na domowych warsztatach. W ogóle włościanie wielkopolscy są bardzo pracowici i chyba już bogaty gospodarz, mający synów dorosłych i czeladź, nie pracuje porówno z nimi, lecz tylko dogląda roboty i rządzi wszystkiem. Tak samo i córki najbogatszych gospodarzy pracują w domu i w polu. Jeżeli zaś gospodarz mniejszy ma dużo dorosłych dzieci, to wysyła je na zarobek już to do dworu, już to bogatszych gospodarzy, albo wreszcie do „Niemiec na robotę“ najczęściej na latowe miesiące.

Wielkopolscy chłopi umiejętnie chodzą około uprawy roli: pługi, brony i radła mają żelazne, tak samo machiny do rznięcia sieczki, młynki i wiewacze do czyszczenia zboża; wyzy, sanki i hele, wszystko praktycznie ulepszone; więksi gospodarze, mający po 200 i więcej mórg ziemi, mają nawet machiny do młócenia,

---

z pierników, Gdańsk ze słodkich wódek, tak Jaworzyn na kikadziesiąt mil w głąb kraju słynął jako uprzywilejowana siedziba koniokradów i jedna z głównych stacyj dla kradzionych koni, zkąd odstawiano je po za granice kraju. Komu wyprowadzono ze stajni rumaka, jak w dym jechał do Jaworzyna, a jeżeli złożył należyty haracz mistrzom złodziejskiego kunsztu zdarzało się zwykle, że zguba ni skąd ni zowąd znajdowała się u żłobu w miejscowym zajeździe. Było tu nawet podobno swego rodzaju towarzystwo asekuracyjne, w którem przezorniejsi za odpowiednią opłatą ubezpieczali się od nocnych wizyt jaworzyńskich obywateli.

Przed 40 laty, kiedy rozpoczyna się nasze opowiadanie, blizkość granicy i dosyć znaczna odległość od większych miast otaczała Jaworzan pewną bezkarnością. To też, kto dziś zabłąka się do Jaworzyna, oglądać może jako pomniki dawnych praktyk mieszkańców tutejszych obszerne doły, w których — jak tradycya niesie — niegdyś na noc stawało kilka i kilkanaście koni. Ciekawszy oglądać może po za miastem piaszczystą górę, „szubienicą“ zwaną; tam to — według opowieści starych przed wiekiem a może i dawwniej — doraźnym sądem poszkodowanych zawisnąć miało czterech najniebezpieczniejszych amatorów cudzych koni.

Występek zazwyczaj nie lubi samotności, lecz rozsadowiwszy się w duszy człowieka, pociąga za sobą cały zastęp różnych wad, przywar, nałogów, a częstokroć i zbrodni złączonych z nim pokrewieństwem złego. Nie dziwno zatem, że i Jaworzanie, uprawiając z dawien dawna niemal z ojca na syna złodziejskie rzemiosło, hołdowali wszystkim siedmiu grzechom głównym.

Goniąc za lekkim zarobkiem, gardzili znojną pracą około roli lub przy warsztacie. Gdy z wiosną wesołe słońce zdejmowało z pól biały pokrowiec, a zboża i trawy uwolnione z pęt zimy ochoczo wystrzeliwały z ziemi, rozlewając jak okiem sięgnąć morze zieloności, w Jaworzynie długo jeszcze smętnie sterczały szare grzbiety zagonów. Nie widziano tam nigdy w lato onych złocistych łanów żyta lub pszenicy, uginających się niby fale wodne pod powiewem ciepłego wiatru, lecz gdzieniegdzie zaledwie wystrzeliwały pojedyncze łodygi jarki, których chude kłosy trwożnie patrzyły ku niebu. Czasami drżący owies nieśmiało zadzwonił ziarnkami, lub wątła tatarka potrzęsła białą czupryną. Nawet liście kartofli traciły swoją zieloność i więdły przedwcześnie.

biedniejsi zaś młócą po staremu zboże cepami i wywożą po trochu na targi do miasta. Prawie wszyscy gospodarze zaprowadzili płodozmian na swych polach; mokre i niskie grunta coraz częściej drenują, a lekkie, piaszczyste ziemie przez sianie łubinu zamieniają na urodzajne; nie są im też obce sztuczne nawozy, których dość dużo używają.

Oprócz uprawy roli zajmują się włościanie troskliwie hodowlą inwentarza, mają więc wcale ładne krowy, konie i trzodę chlewną, która (mianowicie małe prosięta) znaczne przynoszą zyski; gosposie pielęgnują nadto wielkie stada gęsi, już to dla pierza, potrzebnego na wyprawy dla córek, już to dla grosza i własnej potrzeby, a i innego drobiu dość dużo trzymają. Konie służą głównie do uprawy roli, gdyż tylko bogatsi gospodarze mają oprócz koni woły, ale także i do wyjazdu; mniejsi gospodarze chętnie furmanią, najmując się do zworzenia drzewa, kamieni, cegły itd.

Lubo każdy gospodarz posiada przy domu większy lub mniejszy sad, to przecież nie wszyscy troskliwie go pielęgnują; ci chyba, ktorzy mają szczególniejsze do drzew zamiłowanie. Nie lepiej ma się rzecz z pasiekami; ten i ów z gospodarzy ma po kilka kuszek, lecz nie bardzo umie się z pszczołami obchodzić; niewielu jest pomiędzy chłopami uczonych pszczelarzy; w ostatnim jednak czasie coraz ich więcej przybywa dzięki *Kółkom rolniczym,* w których gospodarze znajdują zachętę i naukę, jak umiejętnie hodować drzewa owocowe i pszczoły.

Kółka rolnicze, założone przed dwudziestu laty w Wielkopolsce przez p. Maksymiliana Jackowskiego, położyły wielkie zasługi około uprawy roli i chowu bydła; włościanie, którzy do *Kółek* należą, odnoszą liczne korzyści, pouczając się wzajemnie, dzieląc się swemi doświadczeniami, słuchając nauk i rad wykształconych rolników.

Kółek takich jest 140 z 5 tysiącami członków, przeważnie włościan. Do podniesienia dobrobytu i szerzenia oszczędności pomiędzy chłopami przyczyniają się także znakomicie *spółki pożyczkowe*, założone przed dwudziestu kilku laty przez X. Augustyna Szamarzewskiego, za którego sprawą utworzono jeszcze dwa banki to jest: bank włościański i bank związku spółek zarobkowych. Przed założeniem tych banków i spółek pożyczkowych, skoro chłop potrzebował pieniędzy, szedł pożyczyć do żyda, który go marnował lichwiarskim procentem, a często tak zaplątał w długi, że biednemu gospodarstwo sprzedano. Dziś każdy gospodarz może pożyczyć w banku lub w kasie pożyczkowej za umiarkowany procent. Ale nie dość, że włościanin ma gdzie pożyczyć pieniędzy, lecz jeszcze wie, gdzie zanieść grosz oszczędzony, to też zamiast pieniądze zakopywać lub chować po skrzyniach, chłopek wielkopolski niesie pieniądze do kasy, gdzie mu nietylko nie zginą, ale jeszcze procent przyniosą. Takich kas spółek pożyczkowych istnieje w Księstwie Poznańskiem 64; oprócz panów i mieszczan należy do nich przeszło 13 tysięcy wło-

---

Pasące się po rowach chude krowy i skubiące po miedzach resztki lichej trawy konie o zapadłych bokach dopełniały całości ponurego obrazu. Zdawało się, że zewsząd słychać jeden głos skargi na tych, którzy poskąpiwszy pracy, skazali ziemię na jałowość, a jej płody na marny żywot.

Gorzej jeszcze działo się we wnętrzu jaworzyńskich domów. Tu i owdzie wisiały wprawdzie na wpół zbutwiałe szyldy oznajmujące o fachu mieszkańca, ale był to tylko prosty tytuł. Gdzieżby bowiem Jaworzaninowi przyszło do głowy prowadzić rzemiosło, skoro nawykły do gnuśności, uczuwał nieprzezwyciężony wstręt do wszelkiej pracy. Gdy głód i nędza srożej dokuczały, każdy musiał obejrzeć się za jakimś zarobkiem, ale wtedy wolał przemycać towary z za niedalekiej granicy, lub na dorywcze posługi się wynajmywać, bo nawet za żebraniną po okolicy się błąkać, niż na uczciwy kawałek chleba pracować. Zresztą nikomu z okolicznych mieszkańców nie przyszło do głowy do Jaworzyna po sprawunek chodzić, nieraz już bowiem doznał gorzkiego zawodu, lub dotkliwą poniósł stratę, wolał więc drogi nadłożyć, niż u jaworzyńskich partaczy potrzeby swoje zaopatrywać.

To też bieda, jak to mówią, drzwiami i oknami cisnęła się do wnętrza chałup, o czem wymownie świadczył panujący tam brud i niechlujstwo. Dzieci wybladłe w podartych koszulinach, które zaledwie przykrywały części wychudłych ciał, tarzały się na drodze w piasku, lub ospale dreptały po błocie. Któż bowiem miał się ich dolą zająć skoro matki zazwyczaj wyruszały w pole dla wykonania koniecznych robót, ojcowie zaś o ile zwykłe zajęcie nie wyciągało ich po za miasto, stale przesiadywali w szynku Moszka Piernika, układając nowe występne plany, lub w kieliszku topiąc zdobyte już albo przyszłe korzyści. Ów Moszek był zarazem głównym pośrednikiem i hersztem koniokradów, który kierował najśmielszemi przedsięwzięciami, a sprawców ich umiejętnie osłaniał bezkarnością. U niego składano kontrabandę, z której zyski w znacznej części tonęły w jego kieszeni, reszta szła zaś na pokrycie zaciągniętych w różny sposób długów. On jeden rósł w pióra i przy pomocy innych chałatowych pijawek wysysał resztę krwi Jaworzan, lub jak pająk motał naokoło nich sieci występku, przez co rzeczywiście był całego Jaworzyna wszechwładnym panem.

Wśród tych okoliczności Jaworzyn był istnym

ścian; sami też włościanie złożyli w spółkach pożyczkowych około 6 milionów marek.

Bo też jeżeli tylko włościanin nie jest pijakiem lub próżniakiem, ma się dobrze i często dorabia się majątku. Nieraz się zdarza, że odziedziczywszy małe gospodarstwo po rodzicach z biegiem lat dokupuje po kilka lub kilkanaście mórg ziemi, aż się dokupi wielkiego gospodarstwa. Bogaci zaś gospodarze kupują synom całe gospodarstwa, a córkom dają po 500, 1.000 talarów i więcej posagu.

Tylko gdy gospodarz pijak, a co za tem idzie, i próżniak, lubiący włóczyć się po targach i jarmarkach, wtedy traci majątek, zapożycza się, procentów nie płaci, aż gospodarstwo sprzedają mu za długi i kawał polskiej ziemi idzie w ręce niemieckie lub żydowskie. Wprawdzie ciężkie czasy, jakie nastały dla rolników, liczne i duże podatki dają się chłopom we znaki, mniej jednak niż panom, już dlatego, że włościanin sam wraz z rodziną obrabia swoją rolę, a nadto ma mniejsze potrzeby i wymagania. Właściciel naprzykład 50-morgowego gospodarstwa płaci następujące podatki roczne: czynsz 43 marek zamiast mesznego 10 marek podatek gruntowy 10 marek 24 fenigów, budynkowe 3 marki, podatek kommunalny 6 marek 76 fenigów, przymusowe zabezpieczenie budynków od ognia 20 marek 84 fenigów, podatek szkolny 9 marek, razem więc 102 marki 84 fenigów; nadto obowiązany jest płacić na reperacye kościoła, budynków plebańskich i szkolnych. Są to ciężary znaczne, ale powtarzamy, jeżeli tylko gospodarz wiejski jest rzeźwy, pracowity i gospodarny, a żonę ma z temi samemi przymiotami, to nie tylko ma się dobrze, lecz często dorabia się majątku.

Nierzadko też bogatsi gospodarze oddają synów do gimnazyum, po ukończeniu którego poświęcają się ci najczęściej stanowi duchownemu, mniej często zostają wyższymi nauczycielami, jak powszechnie mówią, profesorami, a bardzo rzadko lekarzami i t. d. Natomiast nauczycielami elementarnymi zostają często i chętnie synowie włościańscy, lecz do handlu biorą się rzadko: zakładają chyba po wsiach, w karczmach, małe handelki towarów najpotrzebniejszych mieszkańcom wsi, gdyż w Wielkopolsce trzymają karczmy, zwane tu pospolicie gościńcami, przeważnie włościanie, a nie żydzi, jak się to dzieje w Galicyi.

W ostatnich czasach coraz rzadziej dzielą chłopi gospodarstwa pomiędzy dzieci; zwykle jednemu synowi zapisują całe gospodarstwo, wymówiwszy sobie tak zwany wycug, to jest mieszkanie, pewną ilość zboża, krowę, jeden lub drugi zagon na perki i kapustę itd. Syn czasami też córka, otrzymująca gospodarstwo, musi spłacić resztę rodzeństwa, które idzie pomiędzy ludzi szukać chleba. Bogatsze dziewczęta wychodzą za mąż za gospodarzy, biedniejsze za chałupników, robotników lub ludzi służebnych; chłopcy zaś albo kupują sobie po kilkanaście mórg ziemi, gdy bogaci całe gospodarstwa, lub idą na rzemieślników. Najchętniej i najczęściej zostają młynarzami, kowalami, stelmachami, rza-

---

gniazdem moralnej i materyalnej niedoli, nad którem duch złego rozpostarł swoje skrzydła. Jakoż opłakana sława jego mieszkańców rozbrzmiewała na kilka mil wkoło. budząc postrach lub odrazę. Każdy, o ile mógł, omijał plugawą mieścinę, a gdy już konieczność wymagała o nią zawadzić, to bacznym okiem strzegł swego dobytku, wiedząc o pożądliwości Jaworzan do cudzej własności.

Smutna też była tutaj dola proboszcza. Jego przestrogi i upomnienia i groźby padały jak groch na ścianę. Ba, nie było ich komu słuchać, gdyż nawet w uroczyste święta zaledwie kilka niewiast przybywało do ubożuchnej świątyni, aby się ukorzyć przed Panem Zastępów i błagać Go o przebaczenie win lub błogosławieństwo w życiu i pracy. Jaworzanie stale stronili od kościoła, widocznie z obawy, żeby nie rozbudzić zaskrzepłego głosu sumienia. Daremnie sędziwy proboszcz ksiądz Hilary gromił opieszałych, daremnie sam do chałup zachodził, ostrzegając przed karą Bożą. Skończyło się na tem, że go zupełnie unikano, a gdy się pokazał na ulicy, kto żyw, uciekał za węgeł domu, lub co prędzej drzwi zamykał. Biedny księżyna gryzł się z tego powodu niezmiernie i marniał coraz bardziej. Niedawno jeszcze czerstwy zestarzał się przedwcześnie, zapadać począł na zdrowiu i po upływie trzech lat zmarł biedaczysko. Ci, co go bliżej znali, mówili, że szlachetne to serce pękło, nie mogąc przenieść niechybnej zguby swych niewdzięcznych owieczek.

Od tego czasu ubiegło dwa lata, a nowy proboszcz nie przybywał do Jaworzyna. Mało kto jednak troszczył się o to, nikt onego braku nie czuł, a Jaworzanie z równą obojętnością przechodzili około zamkniętych drzwi kościoła, jak niegdyś gdy one stały otworem, daremnie zapraszając wiernych na modlitwę.

I oto Piskorski zwiastował przybycie księdza Malutkiego, który swojem nazwiskiem tak bardzo zaalarmował przyszłych swoich parafian,

(Ciąg dalszy nastąpi).

dziej szewcami, piekarzami, krawcami i t. d., według tego, do jakiego rzemiosła ma który chęć i zdolność.

2. Chałupnicy, to jest właściciele domów i kilku mórg ogrodu, tak samo i wyrobnicy czyli robotnicy mieszkający komornem w cudzych domach, najmują się do pracy rolnej po dworach lub u bogatszych gospodarzy, pracują przy budowie dróg, domów, przy cegielniach, i t. d., a najczęściej idą do Niemiec „na robotę", gdzie pracują albo przez letnie miesiące, a na zimę wracają do żon i rodzin, albo też cały rok pozostają zdala od domu, rzadko tylko do niego zaglądając. Ci, którzy posiadają choć maleńką własność, którą uprawiać muszą, trzymają się bliżej domu i w kraju szukają zarobku, podczas gdy ci, którzy nic nie mają wędrują w obce strony, nieraz bardzo daleko.

Więcej jeszcze niż ludzi żonatych idzie w świat szukać zarobku i chleba, a często przygód i nowości, młodych parobczaków i dziewczyn. Dola tych ludzi jest nieraz bardzo ciężka, bo choć na obczyźnie zarabiają dość dużo, to muszą bardzo ciężko pracować, a to, co zaoszczędzą przez lato, spotrzebują w zimie. Słyszeliśmy często „obieżysasów" (tak nazywają powszechnie ludzi chodzących daleko na robotę) mówiących, że lubo „w świecie" większa jest zapłata niż w kraju, to za to praca tak ciężka, iż gdyby mieli tak zawsze pracować, to po kilku latach steraliby zdrowie i siły zupełnie. A pomimo to rzucają wszystko i biegną daleko pomiędzy obcych, gdzie niestety! nie tylko siły i zdrowie tracą, ale co gorsza zapominają języka ojczystego, zaprzepaszczają wiarę i cnotę. Niejedna dziewczyna lub młodzieniec, skromni i cnotliwi w domu, stali się zepsutymi i lekkomyślnymi na obczyźnie. Na pociechę trzeba i to dodać, że trafiają się takie dziewczęta i parobcy lub ludzie żonaci, którzy skosztowawszy raz zagranicznych rozkoszy, przerażeni panującym tam zepsuciem i zgorszeniem, już więcej razy iść tam nie chcą; wolą się kontentować mniejszym zarobkiem, a zachować cnotę, wiarę i ojczysty język, niż za marny pieniądz stracić co najkosztowniejsze skarby poczciwego człowieka. Lecz szkoda, że to tylko wyjątki tak myślą; więcej jest takich, którym się podoba ciągła włóczęga, niepodległość, swoboda, a nawet lekkie i rozwiązłe życie. Nieraz się też zdarza, że ten i ów przehula zapracowane pieniądze, a żona i dzieci mrą głód w kraju i walczą z najcięższą biedą. Jeżeli jeszcze kobieta, jako żona chałupnika, ma własny dom i nieco roli, jest rzędną i pracowitą, to i bez pomocy męża potrafi wyżywić siebie i dzieci, lecz rodziny robotników nie mających żadnej własności, a którzy zarobiony pieniądz sami spotrzebują w świecie, znoszą wielką nędzę i niedostatek. Czasami znowu robotnik, sprzykrzywszy sobie ciężką pracą w Niemczech lub straciwszy od niej zdrowie i siły, wraca na zawsze do domu i tu zaczyna chodzić na zarobek; lecz wtedy najczęściej nigdzie mu się nie podoba, przewłóczy się z miejsca na miejsce, służby przyjąć nie chce, bo mu zależność nie w smak; taki też najczęściej ma biedę, zwłaszcza gdy w domu dużo drobnych dzieci. *(C. d. n.)*

Głos z kraju

Wiadomo powszechnie, że w kraju naszym przeważnie rolniczym, mało jest fabryk. Brak u nas wielki fabryk papieru, sukna, cukru, garbarń i t. p. Biedna ludność musi z tego powodu szukać zarobku w obcych krajach, a nasze płody surowe, jak wełna, skóry, szmaty i t. d. idą tanio do obcych fabryk. Tam przerobione na sukno, papier, skórę wyprawną i t. d. wracają do nas za drogie pieniądze. Tym sposobem kraj nasz ubożeje, a inne się podnoszą. Są u nas wprawdzie papiernie, są i cukrownie i garbarnie, ale to bardzo skromne fabryczki, które mniej produkują, aniżeli tak wielki kraj, jak nasz, potrzebuje. W powiecie krakowskim n. p. uprawiają gospodarze buraki i odstawiają aż do *Chibi*, bo w zachodniej części naszego kraju brak zupełny cukrowni. A o ileż powiększyłaby się liczba uprawiających, gdyby była w blizkości cukrownia, do którejby mogli tak wieśniacy jak właściciele obszarów dworskich dostarczać buraków. Chociażby nawet cena była ta sama co w Chibi, to i tak byłoby to dla nich z korzyścią, bo zostałby im grosz za dostawę buraków na kolej do Krakowa. Warunki potemu są wszelkie, żeby gdzieś niedaleko od Krakowa powstala cukrownia, bo gleba w tych stronach nadaje się do uprawy buraków. Chodzi tylko o to, żeby się ktoś znalazł, coby nie żałował pieniędzy na założenie cukrowni. Ku temu celowi nadaje się najlepiej okolica Niepołomic. Tu kolej żelazna, rzeka spławna Wisła, obszerne bory, a więc nie brak drzewa, robotnik za pomierną cenę, gdyż wsie liczne a ludność uboga. Co do płodów surowych, to tych dostarczą w obfitości okolice Niepołomic, Bochni, Krakowa i Królestwa Polskiego. Sprawę założenia tutaj cukrowni powitaliby z wielkim zapałem wszyscy, szczególnie rolnicy większych i mniejszych posiadłości. W porozumieniu zatem z plantatorami buraków poruszam ją w czasopismach, żeby nabrała większego rozgłosu i żeby inni mogli śmiało objawić swe zdanie, przez co nowozawiązująca się podobno spółka mogłaby nabyć przekonania, że proponowane miejsce na założenie cukrowni jest najodpowiedniejsze i że myśl tę publiczność wita z zapałem, co budzi nadzieję, że fabryka pomyślnie rozwijać się będzie.

W imieniu plantatorów buraków

L. U.

Duchowieństwo przeciw redaktorowi „Wieńca" i „Pszczółki".

Dekanat bobowski.

Niżej podpisani kapłani dekanatu bobowskiego przyłączamy się do protestu Przewiel. Braci naszych dekanatów: bocheńskiego, tarnowskiego i innych i wraz z nimi potępiamy działalność redaktora *Wieńca* i *Pszczółki*, jako uwłaczającą czci i powadze Najprzewielebniejszych naszych księży Biskupów, siejącą waśń i niezgodę i wprowadzającą w błąd lud pieczy naszej powierzony. Przytem oświadczamy się z głęboką czcią, z niezachwianą ufnością i uległością dla naszych Najprzewielebniejszych księży Biskupów, przy których staliśmy i zawsze stać będziemy.

Grybów dnia 15 września 1893 r.

X. *Antoni Watulewicz*, dziekan dekanatu bobowskiego, proboszcz ciężkowicki. X. *Franciszek Jaworski*, proboszcz grybowski, kanonik honorowy kapituły tarnowskiej. X. *Jan Stasiński*, wikaryusz grybowski. X. *Mateusz Sieniewicz*, wikaryusz w Grybowie. X. *Piotr Lewandowski*, proboszcz w Ptaszkowy. X. *Maciej Komperda*, proboszcz w Mogilnie. X. *Wincenty Grodzicki*, proboszcz w Krużlowej. X. *Alojzy Guńkiewicz*, wikaryusz par. w Krużlowej. X. *Jan Markiewicz*, proboszcz w Korzenny. X. *Jan Maciąga*, poddziekani i pleban w Lipnicy wielkiej. X. *Ludwik Ligaszewski*, wikaryusz w Lipnicy wielkiej. X. *Wojciech Dutkowski*, proboszcz w Bruśniku. X. *Józef Kapturkiewicz*, administr. w Jastrzębi. X. *Jan Kozak*, wikary w Ciężkowicach. X. *Ignacy Rakociński*, deficyent w Ciężkowicach. X. *Antoni Mamak*, proboszcz Bobowy. X. *Artur Jarmulski*, proboszcz z Wilczysk.

Autentyczność podpisów stwierdzam.

X. *Antoni Watulewicz*, dziekan.

Dekanaty: nowo- i starosandecki.

Zgromadzeni dnia 25 września b. r. na kongregacyi dekanalnej kapłani dekanatu nowo-sandeckiego, z powodu zasad, wyjawionych w ostatnich pismach X. Stanisława Stojałowskiego, oświadczamy niniejszem:

Jako kapłani katolickiego Kościoła, pomni na orzeczenie Soboru trydenckiego: „Święty sobór orzeka, że oprócz innych stopni kościelnych, biskupi, którzy w miejsce Apostołów nastąpili, do tego hierarchicznego ustroju przedewszystkiem należą i są ustanowieni, jak to św. Paweł Apostoł mówi, przez Ducha św., aby rządzili Kościołem Bożym, i że oni są wyższymi od kapłanów" (S. XXIII. cap. 4.), które to orzeczenie nie co innego wyraża, jak tylko naukę i praktykę Kościoła katolickiego, którą św. Ignacy krótko wyraża słowy: „Biskupom poddani jesteście, jakby Jezusowi Chrystusowi" (ad Trall. II., 1.); wiedząc nadto, że Biskupi posiadają pełną władzę apostolską, a kapłani tylko część tejże; pomni wreszcie na przysięgę, którą się każdy z nas, otrzymując święcenie kapłańskie, do posłuszeństwa względem biskupa zobowiązał; oświadczamy, że trwamy i trwać będziemy w posłuszeństwie i zupełnej uległości dla Biskupów naszych, od których posłannictwo kościelne otrzymaliśmy, a przeto z kapłanami, którzy się z pod posłuszeństwa względem Biskupów swoich wyłamują, żadnego wspólnictwa mieć nie chcemy i nie możemy.

W szczególności zwracamy się do X. Stanisława Stojałowskiego, którego zdolności oceniamy z pism jego poprzednio w duchu miłości pod godłem św. Augustyna: *W rzeczach koniecznych jedność, w wątpliwych wolność, we wszystkiem miłość*, wydawanych. Jak długo w imię tego godła pracował, uznawaliśmy skuteczną jego działalność. Odkąd jednak od tegoż odstąpił, przez to, że się wyłamuje z pod władzy biskupiej, osłabia powagę kapłanów, a niweczy miłość i zaufanie, które istnieć powinny między kapłanami a ludem im powierzonym, z którym zawsze jesteśmy w łączności w słusznych jego żądaniach i takowe popierać będziemy: odtąd nie pozostaje nam nic innego, jak przypomnieć mu słowa św. Jana Apostoła: „Wszelki, który odstępuje, a nie trwa w nauce Chrystusowej, Boga nie ma. Jeżeli kto przychodzi do was, a tej nauki nie przynosi, nie przyjmujcie go do domu, ani mu „daj zdrów" mówcie. Albowiem kto mu „daj zdrów" mówi, uczestnikiem jest uczynków jego złośliwych". (II. Jan II. 9—11).

Nowy Sącz dnia 25 września 1893 r.

X. Dr *Aloizy Góralik*, protonot. Apost., dziekan, prepozyt w Nowym Sączu. X. *Józef Piątek*, poddziekani, proboszcz w Wielogłowach. X. *Ignacy Wojnarowicz*, notar. dek., proboszcz w Kamionce. X. *Gabryel Hełpa*, proboszcz w Zbyszycach. X. *Edward Ropski*, proboszcz w Chomranicach. X. *Ernest Christ*, proboszcz w Tęgoborzy. X. *Jan Jarzębiński*, proboszcz w Mystkowie. X. *Jan Sroczyński*, proboszcz w Siedlcach. X. *Jan Górnik*, administrator w Podegrodziu. X. *Józef Adamczyk*, wikaryusz w Nowym Sączu. X. *Władysław Szymanek*, wikaryusz w Nowym Sączu. X. *Józef Hęciński*, wikaryusz w Nowym Sączu. X. *Franciszek Łukasiński*, wikar. w Jakóbkowicach. X. *Jan Drożdż*, wikaryusz w Podegrodziu. X. *Michał Wieliński*, wikaryusz w Siedlcach.

Do tego oświadczenia przystępujemy:

X. *Franciszek Fox*, emer. katecheta gimnazyum. X. *Michał Nowicki*, katecheta gimnazyum. X. *Wła-*

dysław Dutkiewicz, katecheta szkoły żeńskiej. X. *Józef Wątorek,* katecheta szkoły męzkiej.

Do powyższego oświadczenia przystępujemy z całem przeświadczeniem kapłani dekanatu starosandeckiego.

X. *Jakób Jordan Rozwadowski,* dziekan, prepozyt w Starym Sączu. X. *Józef Gruszka,* proboszcz w Muszynie. X. *Paweł Jendė,* proboszcz w Żeleźnikowej. X. *Maciej Żyła,* proboszcz w Biegonicach. X. *Jakób Żubecki,* proboszcz w Nawojowej. X. *Józef Wirmański,* proboszcż w Barcicach. X. *Jan Maślonka,* proboszcz w Tyliczu. X. *Jan Dagnan,* proboszcz w Piwniczny. X. *Franciszek Lic,* proboszcz emer. X. *Ignacy Lissaj,* deficyent. X. *Antoni Kurasiewicz,* kapelan PP. Klarysek. X. *Michał Weryński,* dyrektor szkoły żeńskiej. X. *Wincenty Dymnicki,* wikaryusz w Starym Sączu. X. *Maciej Wałęga,* emer. proboszcz. X. *Jędrzej Konieczny,* wikaryusz w Muszynie. X. *Antoni Ruminowski,* wikaryusz w Piwniczny. X. *Franciszek Widlarz,* wikaryusz w Barcicach.

Dumania Walentego.



Znowu list od poczciwego Pstrąga! „Kochany Walenty! — pisze poczciwisko — naprzód wam dziekuję bardzo pięknie, żeście mojemu szwagrowi zorali kawałek pola. Magda mi o tem doniosła, więc Bóg wam wielki zapłać! Mnie tu wczoraj najęła jedna pani, żeby jej podłogę *wyfroterować* w dużym pokoju. Taki pokój nazywają w mieście *salonem* i tu państwo przyjmują gości. Z tego pokoju wychodziły drzwi do drugiego. Pytam się służącej:

— Czy i ten należy do waszej pani?

— Nie — powiada — pani ten pokój wynajęła jednemu panu. Kłopot tylko z tem wielki. Niby to jeden mieszka, a dniem i nocą siedzi ich tu po dziesięciu. Pokój zawsze tak *zaświnią,* że się dosprzątać nie mogę. Mówiłam już nieraz pani, żeby komu godnemu ten pokój wynajęła, ale pani nie da sobie o tem ani wspomnieć.

— Rób swoje, głupia — powiada — i na tem koniec.

Żeby nieboszczyk pan żył, to pewnieby nie powiedział, że Kaśka głupia. Pani myśli, że ten drab będzie się z naszą panną żenił.

— A cóż to za jeden? — pytam się Kaśki.

— Nikt nie wie, skąd jest, nawet sama pani i panienka. Niby to uczy się na doktora, czy na adwokata. Ale on żadnej nauki nie pilnuje, tylko tu z drugimi prowadzi dniem i nocą narady. Jakieś *rewolucyonisty* i nic więcej. Zrobili naszą pannę jakąś *prezeską* i ona im święcie wierzy, co powiedzą. A muszą jej ładne rzeczy gadać, kiedy już do kościoła z matką chodzić nie chce. Zaświeciłam sobie w sobotę, jak zwyczajnie, lampkę przed Matką Boską; panienka przyszła i zgasiła mi...

Miałem się Kaśki zapytać, o czem ci panowie tak dniem i nocą radzą, ale posłyszeliśmy na schodach kilku panów. Ja drzwi od ich pokoju zamknąłem, a Kaśka pobiegła do kuchni.

Wpakowało się tego pewnie z dziesięciu z wielkim hałasem. Ja *froteruję,* ale i słyszę, co mówią.

— Nadszedł do mnie list — powiada jeden — od p. *Wysloucha* ze Lwowa, więc chcę *towarzyszów* z nim zaznajomić, abyście wiedzieli, jak mamy głupim ludziom rozpowiadać i pisać o *Młodoczechach.*

— To bardzo ważna rzecz! to bardzo ważna rzecz! — wołają wszyscy.

— Więc słuchajcie *towarzysze!*

Jeden widać popatrzył na list, bo zawołał:

— Ależ panie *Wyrwas* na tym liście podpisany p. *Kapuściński,* nie p. *Wysłouch*!

— To nic nie szkodzi — powiada p. *Wyrwas* — bo p. *Wysłouch* w takich razach wydaje rozkazy zawsze przez swoich agentów. Taka wysoka osoba nie może się wystawiać na niebezpieczeństwa.

— Niech *towarzysz* czyta! — odezwały się głosy — niech *towarzysz* czyta!

Na to p. *Wyrwas* taki list czytał: „Kochani *towarzysze!* Z poważnego źródła przyjmijcie pouczenie, jak macie przedstawiać wypadki w Czechach. Bez grubych kłamstw się tu nie obejdzie, ale to już wiecie,

że dla nas i zbrodnia jest dobrą rzeczą, jeżeli prowadzi do naszego celu. Wiecie dobrze, że te *Młodoczechy* to głównie adwokaci, n. p. dowódca ma ze sto tysięcy dochodu z adwokatury, a ze czterdzieści tysięcy z pisma, które wydaje. Ale o tem nie trzeba wspominać, bo nasi chłopi adwokatów nie lubią. Nie trzeba także mówić, że ci Młodoczesi wiary się wyzbyli i stali się *masońskimi* i *schyzmatyckimi usłużnikami*, że obiecywali narodowi złote góry, a niczego nie dokazali, że hałastrę miejską wzburzyli przeciw Tronowi i w dzień imienin cesarskich pobudzili do ekscesów, a to ostatecznie sprowadziło *stan oblężenia*. Wiecie *towarzysze*, jak Cesarz teraźniejszy oświadczył, że gotów nawet królem czeskim się koronować, ale że teraz tego uczynić nie może, bo to wywołałoby zgubne zawikłania w państwie. Otóż to trzeba tak przedstawiać, że Cesarz obiecał się królem czeskim koronować, a tego nie dotrzymał; o tem zaś nie należy nawet wspominać, że przy obietnicy wyraźnie zaznaczył, że tego teraz wykonać nie może. Wogóle powinniście tak mówić i pisać, że *Młodoczesi* to najlepsi ludzie, synowie chłopów, że im wszystko naród czeski zawdzięcza, że wszystkiemu, co złe, winien tylko rząd i Cesarz. Jest to wszystko, jak już wspomniałem, kłamstwo, ale redaktor *Przyjaciela ludu* nie doradzałby nam kłamstwa, gdyby się nie przekonał, że tym sposobem można sobie zdobyć zwolenników".

— Niech żyje p. *Wysłouch!* — wrzasnęła cała czereda — niech żyje *rewolucya!*

Kiedy się uciszyło, powiada p. *Wyrwas:*

— Trzeba, towarzysze, zawiadomić o tem także naszą piękną prezeskę. Zaproszę ją przez Kaśkę.

Otwiera drzwi od schodów i woła do kuchni:

— Kaśka! chodź-no tu!

Kaśka biegnie przez pokój, gdzie *froterowałem.*

— Zawołasz pannę — powiada p. Wyrwas — i zbliża się do Kaśki, jakby ją chciał pocałować. Kaśka wtedy trzask p. *Wyrwasa* przez pysk warzechą (bo z nią przybiegła w prędkości)... Mnie zaś — Boże odpuść grzechy — mało djabli nie porwali ze śmiechu.

Miała się potem Kaśka z pyszna, jak panna przybiegła i o krzywdzie p. Wyrwasa się dowiedziała, ale w tem nic ciekawego.

Będę ja tu tych *rewolucyonistów* miał na oku, a jak się co dowiem, to wam znowu napiszę. A teraz bądźcie zdrowi, kochany Walenty, bo mnie ręka boli od pisania. — Wasz *Pstrąg*".

To strach! co te *masońskie usłużniki* po miastach wyrabiają!... A jakie to szelmy podstępne!

Wiadomości polityczne.

W chwili, gdy to *Krakus* pisze, o pierwszem posiedzeniu *Rady państwa* nadeszły dopiero wiadomości telegraficzne. Są one ważne. Minister finansów *Steinbach* przedłożył Izbie *budżet* na rok 1894. Wydatki wyniosą przeszło sześćset ośmnaście milionów i pół, a dochody przeszło sześćset dziewiętnaście milionów reńskich. Pokryje się zatem wszystkie potrzeby państwowe i pozostanie jeszcze do pół miliona nadwyżki. Żywe oklaski zyskało oświadczenie ministra, że już w r. 1894 nastąpi *zmniejszenie podatku gruntowego*, a nie mniej i to, że przedłoży projekt rewizyi tego podatku. — Minister obrony krajowej zażądał podwyższenia obrony krajowej, a prezydent ministrów hr. *Taaffe* przedłożył wśród żywego zainteresowania się całej Izby projekt, dotyczący uzupełnienia i zmian pewnych w ordynacyi wyborczej. O tych zamierzonych przez rząd zmianach napisze *Krakus* w następnym numerze, skoro przedłożenie ministra będzie już całkowicie znane. Według tego, co dotąd wiadomo, zamierzone są zmiany głównie w wyborach miejskich.

Ze Sejmu *węgierskiego* smutna nadchodzi wiadomość. Jeden z posłów, widać jakiś *usłużnik masoński*, pozwolił sobie na niesłychanie obrażające słowa przeciwko przemówieniom cesarskim podczas manewrów na *Węgrzech*. Cała Izba osłupiała wobec tak bezgranicznej zuchwałości, lecz ani prezydent Izby, ani prezydent ministrów *Wekerle* nie zganili ohydnego mowcy. Nie uczynił tego również żaden inny minister. Wśród ludności panuje skutkiem tego niesłychane oburzenie i to rzecz naturalna, ale po ministrach, którzy wypowiedzieli wojnę Kościołowi katolickiemu, którzy chcą zaprowadzić śluby cywilne, prowadzenie metryk oddać żydom i t. d., nie można było przecież spodziewać się czego innego. Oni zapewne całą tę scenę przygotowali — *masonowie* na wszystko gotowi i do wszystkiego zdolni. Wiadomość ta wywoła oburzenie w całem państwie austryackiem, nawet *Przyjacielowi ludu* i redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* trudno będzie wyjechać z taką pochwałą dla węgierskich ministrów, z jaką wyjechali dla *Młodoczechów*.

Nie tak dawno jeszcze werbowano od nas ludzi do *Brazylii* w południowej Ameryce i wielu skusić się dało po większej części na wielkie swoje nieszczęście. Ta *Brazylia* była dawniej *cesarstwem*, ale jak rewolucyoniści wzięli się do roboty, tak cesarz musiał uciec i zaprowadzono *republikę*. Stało się to przed paru laty. Cesarz brazylijski, zacny bardzo starzec, umarł ze zgryzot w Paryżu, ale w republice brazylijskiej jakoś trudno było o obiecane szczęście. Rewolucye jedna po drugiej powstawały, krew lała się ciągle i leje się właśnie w tej chwili. Słychać, że krewny zmarłego ce-

sarza zdąża do *Ameryki*. Być więc może, że ludność znękana rewolucyami zaprosiła go na tron.

Z *Warszawy* doszły *Krakusa* wiadomości o licznych aresztowaniach zwłaszcza młodzieży obojga płci. Nieszczęścia tego, które zgubi znowu wiele rodzin polskich, narobili najpewniej podobni *przyjaciele ludu* jak nasz *Wysłouch* we Lwowie. Zawiązali pewnie jakieś *socyalistyczne*, tajne towarzystwo dla wyłudzania pieniędzy i to Moskale odkryli. Kiedy te łotry przestaną trapić biedny nasz naród, to Bóg jeden wie.

W *Londynie* (Anglia) rzucił jakiś rewolucyonista bombę dynamitową do katolickiego, katedralnego kościoła w czasie kazania. Bomba pękła i wyrządziła wielkie szkody, z ludzi jednak nikt cudem prawie Boskim życia nie stracił. Czemu ci *socyaliści* nie napadają na kościoły luterskie albo na bóżnice żydowskie, zapyta może niejeden z kochanych Czytelników. Pytanie to tem łatwiej może się nasunąć, że socyaliści żadnej wiary nie uznają. Otóż, drodzy bracia, *Krakus* te wszystkie złe duchy nie darmo nazwał *masońskimi usłużnikami*. Liberałowie, socyaliści, rewolucyoniści to wszystko oddziały tej samej armii, to wszystko narzędzia w rękach tajnych, *masońskich* towarzystw na zgubę naszej Wiary katolickiej i nieszczęście ludzkości istniejących. Lutrów, kalwinów, żydów i wszelakich niedowiarków w tych masońskich towarzystwach czyli *łożach* najwięcej, więc cóż się dziwić, że takim ludziom solą w oku przedewszystkiem Kościół katolicki, do którego albo należeć przestali albo nie należeli nigdy, a który doczesnego i wiecznego dobra ludzkości najsilniej broni.

Wiadomości i listy od Czytelników i Przyjaciół „Krakusa“.

Z nad Dunajca. Opowiem kochanym Czytelnikom nadzwyczaj smutny wypadek, o którego prawdziwości nie można wątpić, bo go w gronie kilku osób opowiedział wiarygodny, naoczny świadek X. B.

W Rudnie, parafii jurkowskiej, żył niejaki Jan Michalewski, rewizor bydła, człek już w podeszłym wieku, który się atoli nie odznaczał wielką nabożnością, bo go w kościele bardzo rzadko kto widywał. Tenże rewizor bydła posłał był wieczorem dnia 3 września konie do Jurkowa po kapłana, aby przybył do niego z Panem Bogiem i zaopatrzył go, niby śmiertelnie chorego, na drogę wieczności. Nie podobna jest uwierzyć, a jednak tak było, że gdy X. Proboszcz przybył z ostatnią pociechą duchowną do tego człowieka, zastał dom jego zamknięty, w którym się nawet nie świeciło, a na pukanie i nawoływanie, by otworzono, nie otrzymał żadnej odpowiedzi i powrócił z Panem Bogiem, gdyż ów Michalewski widocznie sobie żart z księdza urządził, żart okropny i z Pana Boga! Na drugi dzień, jakby nic nie zaszło, tenże rewizor zdrowy zupełnie i wesoły chodził i cechował bydło, a dnia 5 września wybrał się w podróż i miał się przeprawić na drugą stronę Dunajca na przewozie w Ilkowicach. Lecz w chwili, gdy wstępował na prom, padł nagle i zakończył życie!

Ludzie, wiedząc o jego postępku niegodnym i czując w tym wypadku straszny palec Boży, nie przybyli, jak to zwykle bywa, tłumnie na pogrzeb, który na prośbę żony nieboszczyka odprawił na kredyt X. proboszcz Czernecki w Jurkowie, a za który nie odebrał zapłaty, bo Michalewska, zaraz po pogrzebie sprzedawszy co posiadała, gdzieś znikła. Oto dowód, do czego doprowadza lekceważenie sobie i urąganie z religii i z Boga! *F. M.*

NOWINY.

— **W Krakowie** na Wawelu restaurują w kościele katedralnym najpiękniejszą kaplicę, która nosi nazwę Zygmuntowskiej.

— **Konsulat niemiecki w Krakowie.** Do prezydyum krakowskiego Magistratu nadeszło pismo z naszego Namiestnictwa, że w Krakowie osiędzie wicekonsul pruski.

— **Odznaczenie.** JE. X. Metropolita Dr Sylwester Sembratowicz nadał Drowi Stefanowi Fedakowi, adwokatowi krajowemu we Lwowie, tytuł radcy metropolit. Ordynaryatu, dając tem wyraz swej przychylności i pełnego uznania dla Dra St. Fedaka za jego miłość do ruskiej cerkwi i gr.-kat. obrządku, czego dowody dał Dr Fedak, zająwszy się urządzeniem harmonijnego chóru dla odśpiewania solennego nabożeństwa w Rzymie.

— **Order.** Najj. Pan postanowieniem z dnia 22go września b. r. zezwolił, aby tajny radca, podkomorzy, namiestnik Galicyi, Dr Kazimierz hr. Badeni przyjął i nosił wielki krzyż papieskiego orderu św. Grzegorza.

— **Sambor.** Kapłański jubileusz 50-letni święcił dnia 17 września b. r. Przewiel. X. prałat *Jan Dornwald*, proboszcz i obywatel honorowy miasta Sambora. Czcigodnemu i zasłużonemu kapłanowi daj Boże zdrowie w najdłuższe lata!

— **Gorlice** żegnały w zeszłym miesiącu bardzo uroczyście X. Antoniego Sosa, wikaryusza i katechetę szkoły żeńskiej, który przeniósł się na probostwo w Rudkach.

— **Niewykryci** dotychczas sprawcy urządzili w Pobiedrze (w pow. wadowickim) w nocy na 22 września zamach na osobę p. Podwińskiego, syna byłego starosty. Ogromnemi kamieniami powybijali okna, mając prawdopodobnie na celu ugodzenie p. Podwińskiego, któremu jednak udało się odstraszyć złoczyńców wystrzałami z rewolweru. Wskutek tej napaści 3 osoby, znajdujące się w domu napadniętym, odniosły ciężkie skaleczenia.

— **W Złotej**, w pow. brzeskim, dnia 23 na 24 września b. r. w nocy powstał pożar z niewiadomej dotąd przyczyny, który zniszczył mienie trzech gospodarzy Michała Nity, Jana Rylewicza i Michała Musiała. Pierwszemu, który miał wszystko zaasekurowane, spaliły się stajnie, chlewy z 2 świniami, budynek mie-

szkalny i stodoły ze zbożem, paszą i sprzętami rolniczemi; drugiemu ocalono stajnię, a reszta spaliło się wszystko; trzeciemu spalił się tylko dach na chałupie.

Dzień 29 września b. r. był w Złotej bardzo uroczystym a to z powodu odpustu i 25-letniego jubileuszu X. Ignacego Ziołowskiego, proboszcza. Parafianie uczcili go wyjściem procesyonalnem przed Sumą, również i odprowadzeniem go także na plebanię, jakoteż i mową, wygłoszoną przez Michała Drożdżowicza, przewodniczącego miejscowej Rady szkolnej i radnego, wobec zgromadzonego ludu na podwórzu plebanii. Cześć mu niech będzie, że gorliwą i sumienną pracą w kościele i szkole bardzo wiele dobrego zdziałał!

— **Cholera** we wschodniej Galicyi mimo usilnych zabiegów ze strony ludności i władz dotąd nie wygasła. Trafiają się wypadki i w Krakowie.

— **Pod Moskalem.** Ze wszystkich stron Polski pod Moskalem nadchodzą wieści o smutnem położeniu ludności włościańskiej. Nawet w mlekiem i miodem płynącej niegdyś Ukrainie ubóstwo ludu wzmaga się z dniem każdym, a nawet włościanie gospodarze skarżą się na brak gotówki i inwentarza. W kaniowskim powiecie gubernii kijowskiej statystyka rządowa naliczyła dwanaście tysięcy trzysta trzydzieści dziewięć gospodarstw włościańskich, nie posiadających bydła roboczego. Wskutek tego bydło tam nadzwyczajnie drogie: para wołów kosztuje od 120—160 rubli, a zwyczajny koń roboczy od 40—70 rubli. Pod wpływem tej nędzy włościanie albo wędrują na Wschód, albo tłumnie udają się na zarobki. W tym ostatnim celu z samego tylko powiatu kaniowskiego wyszło siedmnaście tysięcy czterysta ludzi.

W dyecezyi sandomierskiej zniesiony został klasztor Bernardynów w Wielkiej Woli. W klasztorze mieszkało: 4 księży, 3 kleryków, 1 braciszek; przewiezieni zostali wszyscy do tejże reguły klasztoru w Kole, dyecezyi kujawsko-kaliskiej.

Najprzewiel. X. Biskup sandomirski odnowił piękny kościół katedralny ofiarnością własną, Duchowieństwa i wiernych.

— **Michał Csolics**, który, jak *Krakus* w swoim czasie donosił, uczynił zamach na życie węgierskiego księcia prymasa Kardynała Vaszarego, skazany został na dziesięć lat więzienia, a następnie na utratę praw obywatelskich przez drugie lat dziesięć. Oprócz tego zapłacić ma Csolics koszta procesu; w razie niewypłacalności kara więzienia się przedłuży.

— **Pod zarzutem zbrodni zdrady głównej** aresztowano w Pradze dziewiętnastoletniego pomocnika handlowego Jarosława Minowskiego. Minowski miał być przesłuchany w sądzie karnym, jako świadek w sprawie wybryków w wigilię urodzin cesarskich. Przed przesłuchaniem upił się jednak w piwiarni; śpiewał tam rewolucyjne pieśni i przyznał się, że jest członkiem tajnego stowarzyszenia.

Ceny zboża

(z targu na Kleparzu).

Kraków 10 października.

Płacono: za pszenicę białą od 8 złr. — ct. do 8 złr. 30 ct., za czerwoną od 7 złr. 75 ct. do 8 złr. 30 ct., za żółtą od 7 złr. 75 ct. do 8 złr. 25 ct., za żyto od 6 złr. 50 ct. do 6 złr. 80 ct., za jęczmień browarny od 7 złr. 50 ct. do 8 złr. 25 ct., na kaszę od 5 złr. 80 ct. do 6 złr. 20 ct., za owies od 6 złr. 75 ct. do 7 złr. — ct., za rzepak od 13 złr. — ct. do 14 złr. — ct. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca god.	Wschód słońca min.	Zachód słońca god.	Zachód słońca min.
15	*Nied. 21 po S.* Jadwigi i Teresy.	6	5	4	47
16	Pon. Pawła op. w. i Maxyma p.	6	7	4	45
17	Wt. Florentego b. i Małgorzaty.	6	8	4	43
18	Śr. Łukasza Ewangielisty. ☽	6	10	4	42
19	Cz. Piotra z Alkantary wyzn.	6	11	4	39
20	Piąt. Przen. ś. Wojciecha i Ireny.	6	13	4	37
21	Sob. Urszuli panny męcz.	6	15	4	35

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:

Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.